ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 5 sierpnia 1922 roku. № 31.

Juljusz German. Powieść.

31) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Drzwi tej kaźni opatrzone były dodatkowo dwiema skrzyżowanemi sztabami ze stali. Starszy dozorca więzienny, rozrosły, tęgi, o barach atlety i spokojnej, wygolonej twarzy łowickiego wójta, zadzwonił pękiem kluczy, dobierał długo.

— Nie ruszy się, nie drgnie — rzekł zniżonym głosem jeden ze strażników. — I jedzenia nie tknęła, ani nawet wódki.

Zazgrzytał zamek, szczęknęły rygle. Inspektor wszedł pierwszy, za nim Bronicz. Drzwi przywarły się lekko. Nagość ścian wysokiej, wązkiej celi występowała ostro w blasku elektrycznej lampki, palącej się u stropu jaśniejszym żarem, niż światła w korytarzu.

Na żelaznem łóżku, przykrytem szarym kocem w brunatne pasy, siedziała nieruchomo, z założonemi ciasno na piersiach rękami, kobieta zatulona z głową w strzępiasty trykotowy szal, z pod którego wyglądała zmięta popielata suknia, bezużytecznym szychem wyzywającego stroju szydercza.

Twarz jej, zakrzepła jakby w letargicznym śnie, stała się obojętną maską z białego wosku. Otwarte oczy świeciły jak kolorowe, szklane jaspisy, wprawione w orbity kamiennych posążków, które w krużgankach hinduskich świątyń z mrocznych nisz mgławym wyłaniają się kształtem. Zatarty był w tych licach doszczętnie jakikolwiek ślad wzruszeń lub chęci. Przepadł gnieżdżący się w wygięciu ust wyraz bezwstydnej pogardy i rozbestwiona tępość rysów zamarła. Z absolutną martwotą twarzy, spojrzenia i całej postaci kłócił się tylko wiew oddechu, miarowym taktem fali to wypukły, to znów spadający.

Inspektor czekał parę sekund, dotknął palcem jej ramienia.

— Ten pan przyszedł.

Ciepłym promieniem rozpękł jaspis źrenic. Promieniem, który w pierwszem drgnieniu zatlił się surową niechęcią. Tak patrzy ktoś, co do swej dawnej, już porzuconej, pustką gołej izby musiał wrócić, zapomniawszy ważnej rzeczy w jakiejś skrytce pod podłogą czy w murze. Lecz zaraz zaczęły się te oczy mienić migotliwemi lśnieniami, aż wyrwał się z nich jasny ogień najrozpaczliwszej podzięki, podzięki rozbitka, który w bezmiarze oceanu tonąc samotny, ostatniem szarpnięciem omdlałych bezsilnie dłoni schwycił krawędź wypływającej z odmętu wód deski ratowniczej.

I wraz słaby rumieniec przedarł się przez stężałą woskowo bladość twarzy.

Nie przerwała zresztą bezwładu ani jednym ruchem.

— Już spodziewać się zapomniałam—rzekła głosem, jakby z echowej głębi dobytym, nabierającym powoli, z trudem dźwięczniejszych tonów. Przysłuchiwała się im ze zdziwieniem. Zatrząsł nią nagły dreszcz.

— Nie myślałam już, że pana zobaczę. A chciałam dlatego... dlatego...

Z wysiłkiem szukała słów.

Bronicza przejęło dotkliwe wrażenie, że patrzą na niego dwa fosforyzujące, zielone światła, od jej lic i ciała zupełnie oderwane.

— Bo mnie pan widział inaczej przedtem, nim ujrzał o taką... taką...

Tak niespodziewanie opadła z niej nieruchomość, która całą niby płaszczem zastygłej lawy powlekła, że obaj drgnęli bezwiednym gestem zaskoczenia.

Zrzuciła szal z głowy i ramion, roztargała gruby węzeł srebrnozłotych włosów, przesunęła gwałtownie rękami po twarzy, wciskając w nią palce, dotykając mocno każdego rysu, każdego wgłębienia. Spuściwszy dłonie, wbiła paznokcie w skórę przedpiersia i zadrasnęła ją cienką, czerwoną smugą. Powiewnem, niedbałem muśnięciem zbyła resztę postaci.

— Tę oto, taką...

— Zaczyna wyprawiać brewerje — mruknął inspektor, obserwując Bronicza z pytającem zdumieniem— znamy to. Dla dziesiątego pawilonu nie nowina...

Błysnął w jej oczach dziw, że to nie Bronicz do niej mówi. Obwróciła od urzędnika wzrok, jako od czegoś w tej chwili niezrozumiałego.

— A jeżeli tak pan mnie widział, to znaczy... to znaczy...

Ścisnęła skronie, nasuwając na czoło grzywę włosów.

— Było jakieś światełko... wiedziałam o niem... skryło się. Gdy mnie tu przywieźli wieczorem... czy to już dzień... nie wiem, ile czasu przeszło. Bardzo dużo... pewnie rok. Zapadłam się w czarny dół bez końca i światełko uciekało, uciekało...

Z mgły włosów szły ku niemu jarzące iskry spojrzenia. Zdawały mu się wciąż osobnemi od niej punktami świetlnemi.

— Pan wtedy nie kłamał... Tak się pan zdziwił, gdym przed panem stanęła. Musiałam o tem ciągle myśleć, musiałam. To znaczy... Niech mi pan pomoże, pomoże!—zawołała. —Dlatego prosiłam, gdy się pytali, tylko o pana, tylko!

— Nie mogę ci w niczem pomódz — powiedział Bronicz, akcentując twardo to słowo. — Dano mi znać, że pragniesz koniecznie widzenia się ze mną. Przyszedłem, choć między nami tyle wspólnego, żeś mi się dwa razy przewinęła przed oczyma. Wyrządziłaś mi rodzaj przysługi, ostrzegając przed atakiem opryszków. Ale jesteś dla mnie, jak jedna z tysięcy istot, których nie znam i które mnie nic nie obchodzą. Przed karą nikt cię nie uchroni, a już najmniej ja. Powiedz wyraźnie, czego chcesz odemnie?

Odrzuciła głowę w tył, oparła ją o mur ruchem bezgranicznego zmęczenia.

— Nie proszę wcale, żeby pan mnie ratował, wyjął z tego zatrzasku. Ludzka siła nie otworzy go żadna. Wzięli, obstawili kratami, szparką ani oddech się nie przeciśnie. Ich prawo, bo mocni. Tych kul, co tam w żelaznych rurach na mnie czekają, nie wstrzyma nic. Wylecą, rozedrą. Kuli, którą odemnie dostała ta gruba blondynka za ladą w sklepie, nie wstrzymało także nic. Padła jak kloc. I ja padnę. Należy się. Tylko, że ona nie wiedziała ani odrobiny, piorun trzasnął, zdmuchnął, nie miała nawet czasu się dziwić, nie wiedziała kiedy. A ja wiem. Piorun się zniża, zniża się duszący. I ja wiem! A to wymyślili mękę...

Runęła ciężko w róg łóżka.

— Ale takie ich prawo, że mocni—wyrwał się z krwawych ust szept suchy, tępotą oschły, z wszelkiego brzmienia i nienawiści i skargi obrany.

— Już mi było wszystko jedno, nim pan przyszedł. Jużem się przyzwyczaiła, że mnie niema. Stałam się jak kłoda. Niech robią, co chcą z tem wszystkiem — strzepnęła po sobie rękami. Przez lica, kredowym jakby miałem posypane, przeleciał dawny wyraz niewysłowionej pogardy.

— Robili, co chcieli. Wytłukli to, wyszarpali dość. Oni...—uczyniła dłonią ruch nieokreślony, przed siebie, gdzieś w dal. — Wszyscy, każdy. Oni z jednej strony... z drugiej ja. Sama. To i co? Sama...

Skuliła ramiona, skurczyła się, zwinęła w kłębek, nastrzępiony w górze złotolnianą chmurą włosów, z pod których gorzały ciągle ku Broniczowi płomieniste oczy, blaskiem niby zawieszone w przestrzeni.

— Obudziłam się na pański widok. Z tego dołu czarnego mnie wyrwało. To światełko... uciekające... żeby pan pomógł przytrzymać... żeby pan... Nie wiem, jak powiedzieć inaczej, nie wiem...—spadł jej głos w bezdeń rozpaczy. — Ja nie chcę od pana ani łaski, ani zlitowania... czegoś innego... Nikomum sobą łaski nie robiła i czego tam we mnie żałować. Ale do pana mnie ciągnęło, jakby ktoś stał przy mnie i szeptał bez przerwy: „niech przyjdzie, niech przyjdzie"... Ciągnęło od chwili, w której zrozumiałam, choć ciemno we łbie, że już ze mną koniec ostateczny. Więc to nie przez żadną jakąś miłość głupią... Ja dla pana tyle, co strzęp szmaty, zmięty skrawek gazety, którą wiatr po chodniku ciska. Ja od zbójów i złodziei... Ot, gdyby nie złapali na wieczność, gdybym żyła, tobym pana pewnie okradła, albo co gorszego... Już my na pana się szykowali...

— A widzisz ją — rzekł z boku inspektor—teraz to do wszystkiego się przyznaje. Nie okradniesz ty już nikogo, nikomu nie zaszkodzisz. Nie zadrapiesz, płowa kocico...

Znowu spojrzała nań z osłupieniem, dziwującem się jego obecności. I jakby chwytając uchem tylko pusty dźwięk słów, powtórzyła machinalnie: — Nie zaszkodzę nikomu...

— Prawda—skinęła po kilkakroć głową, stwierdzając fakt we własnem pojęciu utrwalony. I zerwała się do Bronicza twarzą z woskowej martwości zbudzoną, brutalną twarzą wszetecznej dziewki:

— Ja panu nic... Nie obejrzałby się nawet na ulicy, łokieć by obtarł, gdybym dotknęła. I tylko traf, że wtedy w nocy maszyna w polu się popsuła... Stoi taki, papierosa pali. Podchodzę. Obca twarz, do żadnej ze spotkanych nie podobna, obca, aż mroźna. A jemu oczy ze zdumienia otwierają się szeroko, jak przestraszone: „Ktoś ty jest?—mówi —„Ja ciebie już widziałem". Skąd? Jak? Aż mnie całą wstrząsem rozdarło! Gdzie? w jakimś śnie? Nie tę? co skórą oblepiona, nie tę, co w tej chwili swój własny głos słyszy! Inną! A ją! tę samą! Inną! Gdzie ona jest? A czy jest? Przyleciało światełko... świeci! Już wiem, o com chciała zapytać, o co prosić! Już wiem!...

Dalszy ciąg nastąpi

WŁADYSŁAW DE BONDY.

Dworek.

Przed białym dworkiem pachną wonne kwiaty...

W mej krwawej tułaczce jam szereg lat długi
Szedł ciągle przed siebie, nie znając spoczynku,
Wytchnieniem przydrożna sień była mi szynku,
Gdzie złoto gościnne świadczyło usługi...

Słońce mam w duszy, jak niegdyś przed laty...

Przed białym dworkiem pachną wonne kwiaty...

Nad białym dworkiem unosi się cisza...

Wśród gniazd szedłem ludzkich od krzyża do krzyża,
Dach tylko poznając więzienia, szpitali,
Mój dom podczas uczty za wino sprzedali,
Mój szlak nie ma końca, mój cel się nie zbliża...

I oto spotkałem wśród pól towarzysza...

Nad białym dworkiem unosi się cisza...

W dworku maluchnym mieszka baśń marzona...

W mej drodze przeżyłem dni zdrady i zbrodni,
Bez wiary wędrówki, bez nadziej przystanki,
Dzień chmurny utraty rozpustnej kochanki,
Co zbiegła odemnie w objęcia przechodni...

Na ganku druh wierny spotyka mnie żona...

W dworku maluchnym mieszka baśń marzona...

Minkowice, 1921 24/VIII.

Marieta z Magdalina.

(W miękko uginającym się na resorach pulmanowskim wagonie I-ej klasy śród akcesorji podróżnych first class siedzą pan i pani. Ekspres pędzi, jak szalony).

Pani (bardzo ładna, młoda blondyna o prześlicznie zaróżowionej cerze, o zadartym nosku, białych zębach i pięknych szafirowych oczach, przedwcześnie trochę roztyła — chrupie z nudów jedną czekoladkę za drugą). Słuchaj, Żorżu, czy we Florencji mówią po francusku? (po chwili ciszy). Ale tam można dostać prawdziwe paryskie kapelusze, co? (Po chwili ciszy). Powiedz mi, po co my właściwie jedziemy do tej Florencji, co? Bardzo grzecznie nie odpowiadać na pytania. (Zajada wyjęte z innego pudełka kasztany w cukrze). Przecież słyszałeś, o co cię pytałam?

Pan (dystyngowany, zblasowany clubman, wertuje „Journal de dèbats"). Słyszałem: Po jakiemu mówią we Florencji? Po hiszpańsku.

Pani. Mój drogi, wiem dobrze, że Florencja jest we Włochach, to jest we Włoszech, a nie w Hiszpanji. Ale kiedy staniemy na miejscu?

Pan. Co? Zaledwie trzy godziny, jakieśmy wsiedli do wagonu w Warszawie i już się obawiasz, że miniemy Florencję, i zanudzasz mnie wciąż, czy ta Florencja leży po prawej stronie okna wagonu, czy po lewej. Nie bój się: pociąg stanie i konduktor powie ci, kiedy masz wysiadać.

Pani. Wcale mi nie zależy na tej twojej Florencji. Wszystko mi jedno, czy siedzę w Magdalinie, czy w Hiszpanji, chciałam powiedzieć: czy we Włochach, to jest we Włoszech.

Pan. Naturalnie. Abyś tylko mogła chrupać całemi dniami słodycze i wylegiwać się do południa.

Pani. A co miałam robić w Magdalinie? Twoja gospodyni wydaje rozporządzenia kucharzowi, kamerdyner—lokajom.

Pan. Stangreci—koniom, a pastuchy—oborom. Więc tobie pozostawało jedynie całodzienne tuczenie się.

Pani. To czemu wziąłeś mnie z teatru? Już trzy lata temu, kiedyś mnie poznał, byłam koryfejką. Wszyscy przepowiadali mi, że zostanę primabaleryną. U nas była kiedyś primabaleryna, która wyszła zamąż i została uczciwą kobietą. Ty wiesz dobrze, że przedtem nigdy z nikim na kolacji nie byłam.

Pan (zniecierpliwiony). Więc co?

Pani. Nic.

Pan. Wiesz dobrze, że nie było ani jednej z pośród twych towarzyszek, która nie zgodziłaby się pojechać ze mną do Magdalina. Czy nie? Opływasz w dostatku. Masz jedwabie, kolczyki brylantowe, jesteś damą.

Pani. Damą. Rzeczywiście! Księżna, co psy wiąże! Całemi dniami niema do kogo ust otworzyć, bo ze służbą nie wypada. (Ziewa).

Pan. Nudzisz się, bo zjadłaś już kasztany i czekoladki. Ale tam są jeszcze ciastka. (Zdejmuje z półki pudełko z ciastkami).

Pani. Będę się dalej tuczyła podług twego wyrażenia. (Zajadając ciastka). Najwięcej mnie martwi to, że z powodu mojej tuszy nie będę mogła już nigdy tańczyć. (Pociąg zwalnia biegu). Jaka to będzie teraz stacja?).

Pan. Nie obawiaj się. To jeszcze nie żaden Madryt, tylko Piotrków. (Pociąg staje, drzwiczki wagonu otwierają się).

Szlagon (z sumiastym wąsem, w żółtym kitlu z krzykliwością dawnej daty). Czy znajdą się w tym wagonie trzy miejsca: dla mnie, dla mojej żony i córeczki? Niech się pani dobrodziejka nie obawia. Daleko nie jedziemy. Tylko kilka stacji.

Pani. Prosimy bardzo.

(Do wagonu wdrapuje się szlagon, szlagonowa i szlagoniątko z mnóstwem odrapanych walizek, koszyków i kuferków z pod ciemnej gwiazdy).

Pan (bardzo zły wstrząsa ramionami). „Prosimy bardzo". Nadzwyczajne! (Układa sobie poduszkę pod głowę, zapuszcza na oczy podróżną czapkę i odwraca się do okna, udając sen, aby nie dać się wciągnąć w przewidywane rozmowy).

Szlagonowa (z dystynkcją szambelanowych z powieści Korzeniowskiego). Ach! Cóż za upał nie do zniesienia! A mówiłam mężowi, że będzie upał, albo burza. Szczęściem, że, zawdzięczając pani, znaleźliśmy tak wygodne miejsca. (Rozsiadają się na miejscach. Pociąg rusza całym swoim biegiem). Ale mój mąż to zawsze...

Szlagoniątko (16-letnia prowincjonalna gąska z sympatycznym wdziękiem młodości). Ale, proszę tatusia, czy wolno z biletami drugiej klasy sadowić się w pierwszej? Przecież może przyjść kontroler. A w poprzednim naszym pospiesznym pociągu nie było wcale miejsca.

Szlagon. A to czemu więcej wagonów nie przyczepiają? Niech mi, panie dobrodzieju, zrobią tylko jaką uwagę, to im wytnę, panie, takie verba veritatis, aż im się praprababka przypomni. A pani dobrodziejce (zwraca się do pani) jeszcze raz rączki całuję za jej dobre serce. Bo teraz, panie dobrodzieju, wszyscy ludziska na siebie, z przeproszeniem, z pazurami: fora ze dwora. Ale wielką damę zawsze poznać po cholewach. Grzeczna, dobra.

Szlagoniątko (ze szczerym zachwytem). Nie tylko grzeczna i dobra, proszę ojczulka, ale i piękna.

Szlagonowa. Basiu! Tak nie można...

Szlagon. Dlaczego? Najlepiej prosto z mostu. Po mojemu: co na sercu, to na języku.

Szlagniątko. Gdyby pani była niemiła i brzydka, powiedziałabym: pani jest brzydka, i skończyło się, ale ponieważ pani jest taka dobra, taka zacna i taka piękna, jak nikt na świecie...

Dama (ogromnie ujęta jej szczerym entuzjazmem podlotka). Uczucia sympatji są zawsze wzajemne. Proszę na zadatek tych uczuć (częstuje ją kasztanami w cukrze).

Szlagoniątko. Przyjmuję, ale pod warunkiem, że pani pozwoli ucałować sobie rączki (całuje ją po rękach; pani obejmuje ją i całuje w czoło). Jakie pani ma rączki alabastrowe i pachnące, a słodkie, jak te cukierki. Choć i te cukierki doskonałe. Nigdy takich w życiu nie jadłam. To od Semadeniego?

Pani. Nie. Paryskie od Balleta. A te czekoladki od Suchàrda, ze Szwajcarji. Ale, prawda, jak Bozię kocham, zapomniałam. Mam tam jeszcze ciastka i sandwisze z łososiem i z pasztetem domowym. A i koniak dla pana się znajdzie. (Zdejmuje z półki bardzo zbytkowny neseser, w którym na aksamicie lśnią srebrne nożyki, widelczyki, kubki, flakony z winem i z koniakiem, a na talerzykach rozłożone są śród serwetek różne zimne smakołyki, do których pani ogromnie gościnnie zaprasza swoich nowych znajomych, nie zważając wcale na

uporczywe chrząkanie pana, niby śpiącego w kącie przeciwległego okna wagonu).

Szlagonowa. Czy małżonek pani zawsze tak chrząka podczas snu?

Pani. Mój małżonek? Ach! Tak, tak, zawsze, zawsze, jak Bozię kocham.

Szlagoniątko. A z czem są, proszę pani, te kanapki?

Pani. To są smażone ostrygi, dzieciątko kochane.

Szlagoniątko. Wyborne. Nigdy w życiu dotąd nie jadłam ostryg.

Szlagonowa. Ani ja. Żywych nie odważyłabym się nawet do ust włożyć, bo się podobno jeszcze w żołądku ruszają.

Szlagoniątko. Ani szampana dotąd nigdy nie piłam.

Pani. Jakie panie szczęśliwe. Zazdroszczę kobietom, które nigdy ostryg nie jadły i szampana nie piły. Ale co tam! Było, nie było. Panie, jeszcze kubeczek koniaku.

Szlagon. Całuję rączki pani dobrodziejki. Trudno odmówić. Rarytny specjalik, jakiego się nie spotyka, panie dobrodzieju.

Szlagonowa. Wszystko wyborowe.

Pani. Faktycznie, mamy bardzo dobrego kucharza.

Szlagonowa. A ja z moją kucharką mam los weterański. Już trzeci kwartał ją uczę i nic. A mąż ot, jak zwykle mężowie, nie domyśla się nawet, co za męki Tantala żona ze służbą w kuchni znosi. Bo mój mąż to zawsze...

Szlagon. A bo to my nie mamy kłopotów w polu z fornalami, z parobkami, ekonomami, żniwiarzami. Rety pańskie! Panie dobrodzieju.

(Ekspres pędzi, jak szalony. Zupełnie już „zgrane" ze sobą towarzystwo, kołysane miękkiemi resorami, delektując się na miękkim aksamicie wagonowych poduszek napojami i smakołykami, ani spostrzega, jak minęli bez zatrzymania się już bardzo wiele stacji. Pani, rozbawiona do niepoznania, śmieje się do rozpuku z anegdotek szlagona i z naiwnych żarcików szlagoniątka, rozczulona utyskiwaniem szlagonowej na niewyrozumiałość męża i na żakowskie figielki córki, która „nie powinna przecież zapominać, że jest już dorosłą panną ze szlacheckiego domu". Wreszcie pociąg zatrzymuje się).

Szlagonowa. Co to za stacja?

Szlagon (wyglądając oknem). Chryste Panie! To już Częstochowa! Baby, prędko podawać kosze, kuferki, bo niema chwilki do stracenia.

Szlagonowa. Widzisz, zawsze jesteś roztrzepany. Gdyby nie ja... (Z największym pośpiechem ściągają manatki, szykując się do wyjścia). Ty zawsze...

Szlagoniątko. To wszystko przeleciało, jak jedna chwila. Jaka szkoda! (Rzuca się w objęcia pani).

Pani. I ja nie zapomnę tej chwili.

Szlagonowa. Dziękujemy pani za wszystko.

Szlagon. Całuję rączki pani dobrodziejki. Żałuję, że małżonek spał tak smacznie, że nie śmiałem go budzić. Jesteśmy Horscy z Wielkiej Wólki. A z kim mieliśmy zaszczyt?

Pani. Ja jestem z Magdalina...

Pan (zbudzony, brutalnie z drugiego końca wagonu). Marieta! (Szlagonostwo opuszczają wagon. Pociąg rusza). Czyje nazwisko zamierzałaś swoim nowym znajomym wyjawić?

Pani. Niczyje.

Pan (mocno przejęty i rozgniewany). Także mądra odpowiedź. Szczęściem, że pociąg ruszył. Lecz prosiłem cię przecież, abyś nie zawierała w drodze żadnych znajomości. Nie prosiłem, mów?

Pani. Cóż im się za krzywda stała, że pomówili trochę ze mną?

Pan. Oświadczyłaś im, że mieszkasz ze mną w Magdalinie. Wszyscy sąsiedzi wzajemnie się znają. Z tego mogą wyjść wielkie dla mnie nieprzyjemności: awantury, pretensje, czemu dozwoliłem, abyś ty przyjaźniła się z panią Horską i z młodziutką panienką, jej córką.

Pani. Przecież nie jestem zadżumiona. Trudno człowiekowi wstrzymać się od rozmowy z innymi ludźmi. Oni byli tacy mili, tacy poczciwi. Tak mi było z nimi dobrze.

Pan. Chłop swoje, pop swoje. Ot, mówiąc poprostu, nakazuję ci, abyś żadnych znajomości z ziomkami nie zawierała. Chyba, że nauczysz się obcych języków; wtedy już z cudzoziemcami sprawa łatwiejsza.

Pani. Każ się wypchać z twymi cudzoziemcami! (Pan odwraca się od niej, zakrywając głowę „Journalem de débats". Pani wyjmuje ze złotej torebki chusteczkę batystową, którą ociera oczy, pełne bardzo gorzkich łez, wybuchając powstrzymywanem cichutkiem łkaniem). Tak, jak gdyby wszyscy byli bez win... Wszyscy mają prawo obrzucać mnie kamieniami. Bo tylko ja jedna...

Książki Ciekawe.

Książek dobrych pojawia się u nas wiele; ogółowi wydawców należy oddać sprawiedliwość, większość z nich rozwija planową i godną wszelkiego uznania akcję, nie cofając się przed wysokiemi kosztami a nawet dużem ryzykiem wydawniczem. Ale ta dobra książka przeciętnie musi być droga, aby pokryła wielkie koszta małego nakładu. Bo paskarz i „nouveau-riche" dobrej książki najczęściej nie kupi, a inteligent może ją nabyć jedynie kosztem odmawiania sobie innych drobnych przyjemności życiowych.

Książek tanich nie mieliśmy prawie wcale, nie mówiąc oczywiście o wydawnictwach poniżej poziomu kulturalnego. Książka dobra i tania wydawała się większem ryzykiem, niż dobra i droga. Czytelnictwo w Polsce słabło, z tego powszechnie zdawano sobie sprawę; pozatem okazywało się dowodnie, że wypożyczalnie książek robiły nieporównanie świetniejsze interesy niż księgarnie. W ten sposób mogły szersze warstwy taniej zaspakajać głód literatury.

A jednak w tem właśnie kryło się duże niebezpieczeństwo dla polskiej kultury. Właściciel czytelni kieruje się zawsze gustem i zapotrzebowaniem swych klientów, nie myśli — jak wydawca — o dążeniu do pewnych celów ideowych.

Nie wiem, jak dalej będzie się rozwijać wydawnictwo „Książek Ciekawych", kierowane przez utalentowanego poetę i wybornego znawcę literatury p. St. Miłaszewskiego. To, co wykazało w swych dotychczasowych publikacjach, świadczy, że postawiło sobie za cel wypełnienie tej luki w naszym ruchu wydawniczym, jaką był brak taniej, dobrej książki. Znalazł się tu i Żeromski i Daniłowski i Dygasiński i Lemański i inni z polskich znanych pisarzy, a wydane już lub zapowiedziane przykłady dowodzą również artystycznego wyboru. Tylko tak można znów wzmocnić słabnące dzisiaj czytelnictwo, rozbudzić pragnienie posiadania własnej książki, a nie korzystania jedynie z pożyczonej, można wykształcić nowe kadry czytelników i nabywców książek. A zachowując w wydawnictwie, rozchodzącem się przeważnie w drodze prenumeraty, planowość i kulturalne wytyczne, kierownicy jego prowadzić mogą szerokie koła czytelnicze ku wyższemu poziomowi czytelnictwa, snuć dalej kulturalną pracę, którą tak pięknie i z pożytkiem niedawno rozpoczęli. *St. Sier.*

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

25) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

XII.

PRZEZ TELEFON.

Nazajutrz rano, przy szarem świetle zimowego dnia, Lydja nie śmiała spojrzeć wprost na swe postanowienie; zerkała tylko na nie z ukosa.

Tak, to, co postanowiła, było wciąż przed nią; nic się nie zmieniło; nie miała zamiaru się cofnąć. Tylko na cóż się zdało wpatrywać w cel tak olśniewający, że aż oślepiał? Była pewną, że dojdzie do niego kiedyś. Jak? Nie mogła tego powiedzieć, ani przygotować jakiś plan. Tylko doznawała bardzo błogiego uczucia ukojenia wewnętrznego.

Mamka Katia dreptała nieco zgarbiona po pokoju.

— Ona przecież nie jest stara— pomyślała Lydja. — Niema jeszcze pięćdziesięciu lat. Jak kobiety starzeją się prędko. Mają jakieś kilka lat dla siebie, a potem koniec...

— Katia! Katia! — zawołała. — Czemu się tak garbisz?

Katia zbliżyła się do niej. Pokiwała głową.

— Bo mnie kości łamią, gołąbko.

Mówiąc, uśmiechnęła się, odsłaniając szczęki, w których brakowało kilka zębów.

— Ile masz jeszcze zębów? — zapytała Lydja z zajęciem, leżąc w łóżku z podłożonemi pod głowę rękoma.

— Nie wiem, duszeczko — odrzekła mamka. — Nie liczyłam ich nigdy. Mam ich jeszcze dosyć na moją potrzebę.

— A ja mam dwadzieścia ośm, Katia; są mocne i mogę gryźć niemi niezgorzej, jeżeli zechcę. Patrz, tylko.

Wysunęła jedno ramię z pod głowy i zbliżyła je do twarzy. Otworzyła usta szeroko i ugryzła się w ciało. Gdy je puściła, na białej skórze odcisnęły się czerwonemi kwadracikami dwa rzędy ścisłych, drobnych ząbków.

— Aleś ty dziś zwarjowała, Lydoczka!

I mamka, ująwszy ramię swej pani, potarła je delikatnie.

— Posłuchaj, nianiu — rzekła Lydja — opowiedz mi historję Iwana Prostego, ale tylko od tego miejsca, kiedy przybywa do pałacu, gdzie była zamknięta królewna. Jest tam jeden ustęp, który mi się bardzo podoba. Wiesz, kiedy córka królewska stoi na wieży i patrzy ku wschodowi. Pamiętasz te słowa?

— To było tak — zaczęła Katia. — Iwan, uszedłszy jeszcze kęs drogi, zobaczył wspaniały pałac, cały ze złota i kryształu i usłyszał przecudowną muzykę, która go oczarowała. Przyglądając się bliżej, zobaczył na szczycie najwyższej wieży piękną dziewicę. grającą na lutni. Patrzyła uważnie w stronę, z której szedł Iwan, bo stara mamka, umierając, powiedziała jej: „Nie martw się. Stamtąd (wskazała ręką na wschód) przyjdzie człowiek śmiały, dzielny i ruski, który cię oswobodzi".

— Nianiu — przerwała nagle Lydja — ile lat miał Iwan Prosty, kiedy się żenił z królewną?

— Tego niema w tej historji, moje dziecko. Ale był zapewne młody. Może miał dwadzieścia lat.

— Dwadzieścia lat! — wykrzyknęła Lydja z uniesieniem — dwadzieścia lat! Jak można wychodzić za dwudziestoletniego smarkacza! To straszne! Nie pomyślałam nigdy o tem, gdy mi opowiadałaś tę bajkę. Lubiłam ją, ale już mi się teraz nie podoba.

* * *

Tego samego dnia około piątej Sawinski przyszedł do Lydji, zajrzawszy przedtem do księcia. Przyjęła go w buduarku, przytykającym do salonu, w którym matka jej i generał Wasiljew z powagą rozprawiali o przeróżnych drobiazgach. Słychać było przez ścianę nieustanny szmer ich głosów, mięszający się z monotonnem syczeniem samowara.

Lydja była zdenerwowana, a Sawinski jeszcze bardziej. Od kilku dni miał wrażenie, że stąpa po niebezpiecznym gruncie, ale żaden instynkt nie wskazywał mu miejsca, które należało omijać.

Lękał się nowego wybuchu złego humoru Lydji. Jak go uniknąć? Rozmyślał nad tem długo, zanim ją zobaczył. Ale gdy ją ujrzał przed sobą, zdjęła go tak ogromna radość, że o wszystkiem innem zapomniał. Starał się jednak nie wspominać o Finlandji i o bliskim wyjeździe żony. Zdawało mu się, że zrozumiał, że wszelka wzmianka o podróży drażniła Lydję. Czy dlatego, że ona sama nie mogła opuścić Rosji?

Lydja ze swojej strony była z początku miłą jak zwykle. Opowiedziała Sawinskiemu różne codzienne drobiazgi życia. O Lordzie Douglasie nie było mowy. Stopniowo jednak coś się zaczęło psuć pomiędzy nimi. Sawinski zdał sobie z tego sprawę dość prędko. Rzec było można, iż oboje mieli trochę gorączki; było coś sztucznego w obojętnym prawie tonie ich rozmowy i czuło się pod tą gładką powierzchnią burzliwy prąd tajemnych myśli. Zdradzały to chwile nagłego milczenia, to znów jakieś spojrzenie przelotne, jakieś nagłe poruszenie głowy, jakieś niespokojne ruchy rąk.

W końcu Sawinski, nie mogąc dłużej znieść tego stanu szczególnego napięcia, wstał. Ona wstała również, jakby bezwiednie. Sawinski zbliżył się do niej, ujął jej obie rączki w swoje dłonie i rzekł:

— Co ci jest, Lydjo Siergiejewno? Co się dzieje? Czy nie jestem twoim przyjacielem? Czy nie masz już do mnie zaufania?... Nic nie rozumiem.

Popatrzyła na niego przeciągle, bez odpowiedzi. Jej oczy miały jakiś dziwny, nieruchomy wyraz i nagle napełniły się łzami.

Sawinski nie mógł znieść tego widoku. Nie troszcząc się o to, że mogą go usłyszeć w przyległym salonie, wziął Lydję w objęcia i wzruszony do najwyższego stopnia, mówił jej słowa tkliwe i bez związku, jakiemi koi się cierpienia dzieci i kobiet.

— Lydjo! Lydoczko najmilsza! Błagam cię. Uspokój się... No, no, i cóż to za takie wielkie zmartwienie? Płaczesz? Czy dlatego, że wiesz, iż łzy czynią cię jeszcze piękniejszą? Cyt, cyt, dziecinko... Powiedz mi, co ci dolega... Tylko nie płacz. Nie mogę tego znieść. Doprawdy, jeżeli będziesz płakała i ja się rozpłaczę. Ładne widowisko zrobimy z siebie.

Mówiąc w ten sposób, tulił ją do siebie i jednocześnie, kiedy starał się ją pocieszyć, dotknięcie tego ślicznego, giętkiego ciała sprawiało mu dziwną rozkosz, której się nie mógł obronić. Zdawało mu się, że ciepło Lydji wnika w jego żyły i to wrażenie było tak przejmujące, że omal nie stracił głowy.

Zdobył się jednak na tyle siły, że odsunął Lydję zlekka i posadził ją w fotelu.

W sąsiednim salonie głosy księżnej Heleny i generała Wasiljewa

szemrały, jak woda strumyka toczącego się ze stromej pochyłości.

Lydja otarła oczy i opanowała się. Atak minął. Za chwilę mogła już mówić i rzekła:

— Pan jest dobry, Mikołaju Władymirowiczu. Trzeba mi przebaczyć raz jeszcze...

— Nie wiem, dlaczego jestem tak zdenerwowana ostatniemi dniami. Nie sądź pan, że jestem małą dziewczynką... Dużo rozmyślałam, zastanawiałam się... może nawet zadużo. To to mnie tak rozstroiło; ale sądzę, że to już minęło i że nigdy już nie będę tak śmieszną, jak byłam dzisiaj.

— Tak, tak — rzekł Sawinski — wszyscy jesteśmy chorzy; widzisz, Lydjo Siergiejewno, to czasy dzisiejsze chcą tego. Mnie samego to przestrasza, gdy widzę, do czego mógłbym być zdolnym. Zapomnijmy o tem, co się stało; ale jeżeli się już uspokoiłaś, może mi powiesz przyczynę twego zmartwienia?

Lydja zastanowiła się chwilę.

— Zdaje mi się, że mogę to panu określić w przybliżeniu — rzekła. — Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale nagle ogarnęło mnie okropne poczucie, że jestem samą na świecie.

Sawinski drgnął i chciał odpowiedzieć, ale nie dopuściła.

— Powiesz mi pan, że mam rodziców. Ale, Mikołaju Władymirowiczu, moi rodzice już przeżyli swój czas... A ja mam całe życie przed sobą, i nie widzę w niem jasno... Nie widzę nic, tylko samotność i pustkę... To okropne!

Umilkła i Sawinski milczał także długo. Cóż on mógł dać tej rwącej się do życia młodości? Czy mógłby być towarzyszem tego dziecka przez całą, długą przyszłość? Był już prawie starym; nie był wolnym. Nie miał jej nic do dania. Poczucie własnej bezsilności wobec tego cierpienia przytłoczyło go.

— Drogie dziecko — rzekł wreszcie. — Jesteś bardzo młodą. Trzeba być cierpliwą. Tak przecież zawsze nie będzie. Jeżeli chodzi o przetrwanie tych ciężkich czasów, wiesz, że możesz liczyć na mnie, że jestem twoim przyjacielem. To, niewiele, oczywiście, ale w każdym razie...

Lydja przerwała mu z żywością.

— Wiem to wszystko, wiem, że pan mi jesteś szczerze przyjaznym. Ale pańskie życie nie należy do ciebie... Masz żonę, dzieci...

Umilkła znowu, wzruszona silnie. Sawinski, zdruzgotany, nie wiedział, co odpowiedzieć.

W tej chwili księżna weszła do buduarku i odezwała się do Sawinskiego, prosząc, by został na obiedzie, który miano zaraz podać i podzielił z niemi skromny, rewolucyjny posiłek.

Sawinski podziękował. Nie mógł już znosić obcowania z Lydją w towarzystwie. Zaszedł z nią już tak daleko w zażyłości, że tylko sam na sam mogło go zadowolnić.

* * *

Gdy znowu zobaczył Lydję, zdawało się, że zapomniała o tej denerwującej scenie, która ich tak zbliżyła. Jedyną różnicą, jaką Sawinski w niej dostrzegł był pewien odcień powagi, coś stanowczego w obejściu, jakgdyby powzięła jakiś plan i zamierzała go przeprowadzić.

O Lordzie Douglasie nie było więcej mowy. O Finlandji raz tylko wspomniał Sawinski, nie wymieniając ani żony, ani dzieci, że ma tam jeszcze ważne rzeczy do załatwienia. Wieści, jakie stamtąd przychodziły, były uspokajające. Wszystko przemawiało za tem, że przełom nastąpi lada dzień. Lydja przyjęła to wyjaśnienie bez odpowiedzi.

Następnego dnia nie wyszli na zwykłą przechadzkę. Ale na trzeci zawezwała go do telefonu. Zrazu, prawie że nie poznał jej głosu, tak był zmieniony. Powiedział jej to i zapytał o przyczynę. Odpowiedziała mu swobodniejszym tonem. Miała popołudnie zajęte, ale jeżeli Sawinski pozostanie w domu na obiedzie, ona zatelefonuje do niego około siódmej lub trochę wcześniej, by z nim pogawędzić chwilę.

— Będę sam w domu na obiedzie — rzekł Sawinski — i będę czekał na pani telefon. Ale jakżeż to spędzę dzień cały, nie zobaczywszy cię.

— O! — odparła — zobaczymy się jutro, Mikołaju Władymirowiczu. W każdym razie porozumiemy się wieczorem telefonicznie. Będę miała coś do powiedzenia panu.

Głos jej spoważniał znowu. Sawinski chciał prowadzić dalej rozmowę. Ale Lydja już zawiesiła słuchawkę.

XIII.

„W TAKĄ TO NOC..."

(Kupiec Wenecki).

Sawinski wrócił do siebie przed szóstą.

Był zmęczony i smutny. Kazał sobie podać herbaty, położył się na otomanie i czas jakiś dał wolny bieg myślom. Pociągnęły go one w świat o atmosferze ciężkiej, gdzie najdrobniejsza rzecz dokonywała się z niezmierną trudnością, gdzie się było jakby zmiażdżonym pod uciskiem nieokreślonej jakiejś obawy, stokroć gorszej do zniesienia niż widok rzeczywistego niebezpieczeństwa.

Sawinski doznawał wrażenia, że dąży ku jakiejś katastrofie drogą ujętą w dwa szeregi wysokich, kolczastych żywopłotów, nie pozwalających mu nic widzieć ani przed sobą, ani koło siebie i zamykających się za nim w miarę, jak się posuwał. Nieprzeparta, potężniejsza od brutalnej siła pchała go coraz dalej po tej drodze, u której konca czuł, że czekała go otchłań. Jakiś fatalizm, ciążący nad nim, jak nad całą Rosją, przytłaczał mu piersi. Miewał chwile, w których nie mógł się opanować, w których był bezbronną ofiarą demonów nocy. Teraz właśnie przyszła na niego taka chwila.

Przyczyniły się do tego odwiedziny Simeonowa w trakcie dnia. Ten bolszewicki działacz przyszedł do niego, jakoby dla dowiedzenia się czegoś o rozmowach Sawinskiego ze starym Lamshofem, ale między innemi nadmienił coś o armji reakcyjnej nad Donem i wymieniwszy raptem nazwisko Spasskiego, rzekł:

— Wiemy, że ma korespondentów w Piotrogrodzie.

Poczem natychmiast zaczął mówić o czem innem.

Ale wzmianka zrobiła swoje i jak kamień rzucony do stawu, zatacza na jego powierzchni coraz szersze kręgi, tak wstrząśnienie jakie wywołała w Sawinskim, rozprzestrzeniło się zwolna w jego duszy i dosięgło warstw, które dotąd pozostawały w spokoju...

Lada dzień mógł być zaaresztowany, jako wspólnik Spasskiego w jego kontrrewolucyjnym ruchu. Był na łasce przypadku lub zdrady. Ktoś z członków tego stronnictwa mógł mieć zbyt słabe nerwy i pod wpływem strachu pójść zaprzedać się bolszewikom. A władcy Smolnego nie żartowali. Ileż już doraźnych egzekucji dokonano? Wały petropawłowskiej twierdzy, rowy Kronsztadtu, sam dziedziniec Prefektury na Grochowej mogły były coś o tem powiedzieć.

Dalszy ciąg nastąpi.